Nr 42. Kraków, 21 Października 1893. Rok III.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya w księgarni «Spółki wydawniczej polskiej.»

Redakcya przy ulicy Straszewskiego l. 22.

KRAKUS

Prenumerata wynosi:

w Krakowie

rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową

rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,

oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

Włościanie Wielkopolscy.

(Pod rządem pruskim).

(Ciąg dalszy).

Zapytać się kto może, czy to na obczyźnie niema poczciwych, cnotliwych i pracowitych polskich robotników? I czemu to zdala od kraju traci robotnik wiarę i cnotę? Na pierwsze odpowiadamy, że wielu dzielnych, polskich robotników pracuje w Niemczech, że ich tam bardzo pożądają chlebodawcy i pracowitość ludu polskiego, że się robotnicy zawiązują w towarzystwa w celu zachowania języka rodzinnego i Wiary św. katolickiej, lecz stosunki robotników polskich po za granicami Wielkopolski nie należą do naszego opowiadania, więc teraz o nich mówić nie będziemy, zrobimy to może później; dziś opisujemy tylko te wędrowne ptaki, którym w domu źle, którym nie podoba się praca, ale ciągłe przejażdżki i podróże. Czemu zaś robotnik zdala od domu traci wiarę i cnotę, łatwo odpowiedzieć. Każdy katolik wie, czem dla człowieka jest modlitwa, Sakramenta św. i Słowo Boże. Otóż robotnik polski jest pozbawiony tego wszystkiego w Niemczech, bo choć są tu i ówdzie katolickie kościoły, to przecież nie znając doskonale języka niemieckiego, nie rozumieją Polacy niemieckich kazań, do Sakramentów św. nie mogą przystępować; nieraz się znowu trafia, że kościół katolicki oddalony jest o mil kilkanaście, więc robotnicy zajęci pracą i cały rok nie są na Mszy św. Takie życie nie może wyjść na korzyść duszy, która też powoli oddala się od Boga i obumiera. A oprócz tego istnieje jeszcze groźne niebezpieczeństwo dla polskiego robotnika ze strony socyalistów, którzy swemi przewrotnemi naukami bałamucą lud polski, wydzierają im wiarę i wszystkie szlachetne przymioty zdobiące człowieka.



Włościanin wielkopolski z żoną.

W ostatnim czasie zaczęli socyaliści wprawdzie i w Wielkopolsce rozsiewać szkaradne chwasty swych nauk, ale tu odbierają raz po raz od polskich chłopków doskonałą nauczkę; czasami oberwą po skórze, częściej zostaną wyśmiani i za drzwi wyproszeni, to też w swe siecie nie wielu ułowią. W Niemczech lepiej im się wiedzie, tam już ogłupili niejednego polskiego robotnika, któremu nie w smak

był polski razowiec, więc poszedł szukać niemieckiego kołacza.

A przecież chałupnicy i wyrobnicy pracujący w Wielkopolsce pilnie i ochoczo, zarabiają dość dużo, tak, że mogą wyżywić siebie i swoje rodziny. Latem przy pracy w polu pobierają 1 markę 50 fenigów do 2 marek zapłaty dziennie; w zimie na krótkim dniu 1 markę do 1 marki 25 fenigów, podczas żniw zaś, mianowicie kiedy pracują na akord, zarabiają dziennie 3 marki do 4 marek. Kobiety pobierają w zimie 60 fenigów, latem 1 markę. Zapłata ta nie jest zresztą wszędzie równa, w niektórych okolicach dostają oprócz pieniędzy jeszcze śniadanie, obiad i kolacyę, gdzieindziej znowu dostają tylko obiad, a za to większą zapłatę, albo też pobierają same pieniądze bez jedzenia. Przy budowlach, szosach, cegielniach, cukrowniach itd. zarobek jest większy niż przy pracy w polu; tak samo w mieście zarabia robotnik więcej niż na wsi.

3. Lepiej od chałupników i wyrobników czyli robotników mają się ludzie służebni czyli dominialni. Parobek kawaler, służący we dworze za fornala, owczarza, forysia itd., pobiera rocznie 100—120 marek pensyi, ma stół i mieszkanie, pańską pościel i dostaje 1 lub 2 zagony ziemi za pranie; ziemię tą daje zwykle parobczak jakiej kobiecie, która mu za to pierze bieliznę. Dziewczyna służebna dostaje także całe utrzymanie, zagon na pranie i 70—80 marek zasług rocznie. Parobcy i dziewczęta, służący u gospodarzy, mają takie same mniej więcej dochody.

Ludzie zaś, służący z żonami za fornali, rataji, ręczniaków i t. d., mają wolne mieszkanie, pobierają zasług 100 marek, ordynaryi: 12 centnarów żyta, 4 centnary jęczmienia i 4 centary grochu, w niektórych miejscach jeszcze nieco tatarki lub prosa i pszenicy; nadto dostają pół morgi ogrodu przy domu i 1 morgę w polu na perki, 2 zagony na kapustę i 2 zagony na len; dalej 2 kupki gałęzi i gdzie torf kopią, 6 tysięcy cegieł torfu, a gdzie go nie ma, 2 sążnie drzewa; mają też krowę na pańskiej oborze, wolno im trzymać świnie i gęsi, dla których dostają pastwisko. Żony ludzi służebnych zobowiązane są chodzić do żniwa, do siana i wybierania perek, za co dostają dzienną zapłatę po 60 fenigów; wychodzą jednak z domu później a wracają rychlej, aby miały czas zająć się domową robotą: ugotować jeść, wydoić krowę i t. d. Wolno im także zbierać pozostałe na polu kłosy, lecz za tę zbierankę muszą odrobić; opłaca się ona jednak bardzo, bo dzielne zbieraczki uzbierają po 4—5 centnarów zboża; mianowicie chętnie zbierają pszenicę. Każdy ze służebnych ludzi musi mieć jeszcze dziewkę, która co dzień chodzi na pańskie za dzienną zapłatą, a nadto dostaje gospodarz na dziewkę 3—4 centnarów zboża i pół morgi pola na perki. Musimy jednak nadmienić, że dochody ludzi służebnych nie są wszędzie równe, w niektórych miejscach są większe, gdzieindziej mniejsze; zależy to od zwyczaju, jaki jest właśnie w okolicy; najczęściej jednak mało się różnią od tego, jaki tu podaliśmy.

Kowale, stelmachy, włódarze, polowi i owczarze

Wieczne odpoczywanie, racz mu dać Panie!

napisał

X. Zygmunt Chełmicki.

(Ciąg dalszy).

III.

Jakkolwiek Moszek tak skutecznie położył koniec wszelkim deliberacyom w szynku na temat nowego proboszcza, nie zdołał on jednak przeszkodzić, że nazajutrz wieści o nim obiegały cały Jaworzyn. Ale co dziwniejsza, że obawy „mądrali“ wszędzie znalazły wdzięczne ucho. Jaworzanie i ich połowice, drażliwi na punkcie honoru miasta, jednomyślnie prawie w nazwisku przyszłego pasterza dopytywali się zamiaru pohańbienia ich grodu. Oburzenie więc objawiało się niemal u wszystkich, a byli nawet tacy, co zaprzysięgli księdza Malutkiego nie wpuścić do kościoła. Młynarski, który zaręczał, że zna się na pisanem, przez dwa wieczory nie chodził do Moszka układając w podobnym duchu petycyę do władzy dyecezyalnej. Co właściwie dokument ten zawierał, nikt się dowiedzieć nie mógł, pokrywał go bowiem wężykowaty szereg niekształtnych znaków, czytelnych chyba tylko dla samego autora. Jaworzanie jednak na zaręczenie „mądrali,“ „że tak będzie dobrze“ przez położenie na papierze trzech koszlawych krzyżów zgodę swoją wyrażali.

Jak wszelka najbardziej alarmująca i jątrząca wieść traci z czasem znaczenie, tak i sprawa księdza Malutkiego powoli przestała drażnić Jaworzan. Mówiono o niej coraz mniej, a po upływie tygodnia zapomniano zupełnie.

Ot zwykła kolej ludzkich rzeczy.

Niemało też ludzi ogarnęło zdziwienie, kiedy pewnej soboty w oknach plebanii, od śmierci księdza Hilarego szczelnie okiennicami zasłoniętych, ujrzano światło, a w godzinę później, przez słabo oświecone szyby kościoła, zauważono jakąś krzątaninę we wnętrzu świątyni.

Piskorska, którą z organiściną łączyły węzły kumostwa, nie mogła opanować ciekawości i cichaczem otuliwszy się chustką, pobiegła do przyjaciółki zaciągnąć języka.

— Moi najdrożsi — szeptała, oddychając ciężko ze zmęczenia — co się u was dzieje?

są lepiej płatni, pobierają większą ordynaryę i mają zwykle po 2 krowy.

To też ludzie dominialni, jeżeli są trzeźwi, gospodarni i siedzą po lat kilkanaście na jednem miejscu (to jest zostają w jednej służbie) nigdy nie zaznają biedy, a często dorabiają się po paręset talarów, które wypożyczają gospodarzom, lub składają w kasie spółek pożyczkowych. Mają się wiele lepiej od chałupników i robotników, a nawet od mniejszych gospodarzy, których cisną podatki, nieurodzaj, grad i powodzie, podczas gdy ludzie służebni, bez względu na klęski w gospodarstwie, zawsze dostają swoje, to, co im się należy. Niejeden też dorobiwszy się kupuje sobie kawałek roli i dom, ale częściej zwłaszcza starsi służą do śmierci, pozostawiając grosz oszczędzony dzieciom. Córki ludzi dominialnych dostają w posagu krowę, maciorkę, kilka gęsi, kur, sprzęty do izby, statki domowe i kuchenne, a nadto piękną pościel na łóżka i porządny a obfity przyodziewek; tych zaś, którzy mają więcej uskładanych pieniędzy, i paręset marek. Synów znowu żenią często z córkami mniejszych gospodarzy; młodzi zebrawszy do kupy otrzymane od rodziców grosze kupują kawałek gruntu na własność, gdyż bądź co bądź, chłopek wielkopolski bardzo jest przywiązany do ziemi, którą chętnie nabywa i rad się widzi właścicielem choćby maleńkiej posiadłości, nie zważając na kłopoty i troski, których w pańskiej służbie mógłby uniknąć.

(C. d. n.)

Pijak i zły duch.

Spotkał Kuba trzeźwy Wojtka pijanego,
I niewiele myśląc, zagada do niego:
Wojciechu, was jakoś bałamucą nogi,
Bo prowadzą z jednej w drugą stronę drogi —
Wybyście się pewnie w błocie przewracali,
Więc wam dopomogę, poprowadzę dalej!...
Idą, idą obaj; wtem: Stój! Wojtek powie —
Tutaj, przy tym moście djabeł siedzi w rowie,
Puść mnie, bo ten czarny zawsze mnie tu kusi
I zwykle w tej fosie w błoto cisnąć musi!
Ale nie baj, Wojtku, Kuba mu tłómaczy —
Choć cię zawsze rzuca, dziś będzie inaczej.
Nie będzie! więc puść mnie, on mi nie daruje,
I dziś mnie, jak zwykle, w błocie umaluje!
Nie puścisz? to zgoda — obu nas tu rzuci...
Lecz ja tego nie chcę! — tak się Wojtek kłóci.
Kuba pijanemu nic nie odpowiada,
Wiedząc, że pijany z trzeźwym się nie nada,
Lecz go chwycił silnie i dalej z nim kroczy...
Naraz staje Wojtek i przeciera oczy:
Co, my już za mostem? a djabeł nie wiedział,
Lub przeląkł się ciebie, że cichutko siedział?
Tak jest — rzecze Kuba — stąd dla cię nauka,
Że kto z djabłem żyje, tego djabeł szuka...
I on zwykle tylko pijanicę wodzi;
Trzeźwego unika, bo ten prosto chodzi. *Fr. M.*

— A no nic — odparła zagadnięta — proboszcz przyjechał!

— Eh, nie mówilibyście!

— Kiedy mówią, że przyjechał!

— A widzieliście go? — pytała natarczywie Piskorska — czy malutki?

— Nie widziałam, bo ledwie z bryki zsiadł, zaraz przysłał po mego i odtąd coś tam w kościele gospodarują.

— No, no! — rzekła przyjaciółka, kiwając głową. A możeby — dodała po chwili — zajrzeć przez dziurkę od klucza do kościoła.

— Dalibyście pokój, a nuż wyjdą i spostrzegą. Toć go zapewne jutro zobaczycie.

— Jabym tylko chciała widzieć, czy taki malutki. Ale niech je tam, może i dobrze mówicie. Dobranoc kumo!

— Dobranoc!

Pani Piskorska, nie bacząc na pokaźną tuszę swoją, biegła chyżo, gdyż trawiła ją gorączka podzielenia się wiadomością z kumoszkami, które również niecierpliwie czekały jej powrotu.

I stała się tego wieczoru rzecz dziwna. Niewiasty jaworzyńskie, które zazwyczaj formalną bójkę staczały ze swymi mężami o wizytę u Moszka i dopiero po długich zaklinaniach, wymysłach wśród łez ulegały konieczności, dziś same coprędzej wypychały ich z domu, by szli do szynku na naradę.

Jakoż u Moszka późno w nocy widać było światło przez okno, a wrzawa i hałas rozlegały się daleko.

Był to jeden z tych prześlicznych poranków czerwcowych, które podziwiać można tylko u nas. Słonko wytoczyło powoli swoją jaskrawą tarczę na horyzont, budząc ze snu całą przyrodę. Lekki wietrzyk niósł z pól i łąk zapach kwiatów i ziół, śpiew skowronka mięszał się z rzechotaniem żab w stawie, miliony owadów brzęczało w powietrzu, a głos kukułki dolatywał echem z pobliskiego lasu. Tętnienie życia rozlegało się wszędzie, a wraz z niem dziwna wesołość wstępowała w całą naturę.

Wtem z wieżycy kościelnej rozległ się głos dzwonka. Najpierw cicho, potem coraz wyraźniej płynął po rosie ginąc hen daleko w przestrzeń. To jęczał żałośnie, to nawoływał natarczywie, a dźwięk jego drżał w powietrzu i głuszył śpiew ptasząt i chór owadów, które jakby ze zdumieniem słuchały dawno zapomnianego

Dzieje narodu polskiego.

(Ciąg dalszy).

Kazimierz Odnowiciel.

(1040—1058).

Powrót do kraju. — Wojna z Czechami. — Koronacya. — Pokonanie Masława. — Założenie Biskupstwa Płockiego. — Schyzma.

Po ucieczce z Polski królowa Ryksa świątobliwy prowadziła żywot w Niemczech: modliła się, pościła, rozdawała jałmużny, obdarzała hojnie kościoły, syna zaś Kazimierza oddała aż do Francyi OO. Benedytynom w mieście Kluniaku, słynącym z pobożności i nauki, żeby rósł w bojaźni Bożej i mądrości. Tu go zastali posłowie polscy: arcybiskup gnieźnieński Stefan, wielu rycerzy-rolników i prostych włościan. Rzewnemi łzami musieli się zalewać, kiedy opowiadali Kazimierzowi o nieszczęściach Ojczyzny, rzewnie musiał płakać Kazimierz, słuchając ich opowiadania. Ani chwili nie wahał się wyruszyć do Polski, choć matka Ryksa bardzo się o niego lękała. Bo i było się czego lękać.

Małopolskę, Wielkopolskę i Szląsk trzymali w swoich rękach Czesi; ów Jarosław ruski, który Świętopełka wypędził i w Kijowie panował, zagarnął Ruś Czerwoną; Pomorzanie się oderwali; niegodziwy Masław księciem się zrobił na Mazowszu, prowadził konszachty z Pomorzanami i Prusakami i każdej chwili mógł użyć ich pomocy przeciw prawowitemu panu. Cała Ojczyzna w obcych była rękach, na nowo trzeba było ją zdobyć i odbudować.

Więc było się czego lękać. Ale wszechmocny Bóg, jak każdy zły uczynek karze, tak wspomaga i dźwiga każdego, kto mu zaufa, trudów się nie lęka, a mądrze postępuje.

Sprawdziło się to najzupełniej na Kazimierzu.

Widząc, co go czeka w Polsce, uprosił sobie u cesarza niemieckiego, swojego krewnego, sześćset dzielnych rycerzy, wziął od matki błogosławieństwo na drogę, koronę i wszystkie oznaki królewskie (bo to królowa Ryksa ze sobą zabrała) i w Imię Boże ruszył do Ojczyzny.

Na pograniczu zdobył sobie jakiś zamek i stąd, nie odgrażając się naprzód nikomu ani Rusinom, ani Pomorzanom, ani Masławowi, jedynie Czechów zaczął bić i wypędzać. Naród, gdy się zwiedział, że prawy dziedzic i monarcha już jest w kraju, zbiegał się zewsząd do niego jak do ojca, chwytał za broń i z wrogami na śmierć i życie walczył. Po długich trudach i walkach wypędzono Czechów ze Szląska, z Małopolski i Wielkopolski. Mężny Kazimierz wyruszył teraz do Gniezna na koronacyę. Trudno opisać, jak się naród radował, że znowu będzie miał własnego monarchę, własnego gospodarza, własnego ojca i obrońcę. Tłumami zastępował mu drogę, do nóg się mu rzucał, szaty jego całował, głośno płakał i wołał ustawicznie: „A witajże nam, witaj, miły gospodynie!“ co na dzisiejsze znaczy: „A witajże nam, witaj, miły Panie!“

Po koronacyi trzeba się było wziąć do Masława,

---

głosu, lub zamiast pogrążonych we śnie Jaworzan, szeptając kornie „Anioł Pański“, składały hołd poranny Panu.

Lecz i w Jaworzynie ten dźwięk zaczął budzić ospałych. Wczorajsza narada u Moszka nie doprowadziła do żadnego rezultatu, zgodzono się tylko na to, aby baby wysłać na zwiady, bo — jak zakonkludował Młynarski — „one do tego najsprawniejsze“. Więc też one „baby“ gotowały się do powierzonej im misyi, poczyniając przygotowywać odświętne suknie. Niebawem w całem miasteczku rozbudziło się życie na dobre. Biegano na różne strony naradzano się, a ruch gorączkowy panował wszędzie.

Pani Bonifacowa, przypomniawszy sobie, że niegdyś śpiewywała godzinki w kościele, z samego rana wystrojona w niebieską, nieco wypłowiałą suknię i duży, w jaskrawe kwiaty przybrany czepiec podążyła do organiściny. Wkrótce obie wtoczyły się do świątyni, zkąd niebawem dolatywały ich piskliwe, nosowe głosy.

Inne mieszczanki Jaworzyna nie chciały pozostać po za dwiema kumoszkami, więc podążyły za niemi. Zaczęli też nadciągać pobożni kmiotkowie z okolicznych wiosek, do których rankiem doleciała wieść o przybyciu nowego proboszcza.

Kościół zapełniał się powoli.

Jaworzanie tymczasem szli do Moszka, gdzie miano czekać na wiadomości od „bab“, kilku tylko między nimi Młynarski i Piskorski postanowili zajrzeć do kruchty, ale już po rozpoczęciu nabożeństwa.

Chwila uroczysta zbliżała się. Słonko wzniósłszy się wysoko na niebie dopiekało na dobre, kiedy z wieżyczy kościoła odezwał się znowu dzwonek zwiastujący, iż niebawem rozpocznie się Przenajświętsza Ofiara.

Około wielkiego ołtarza wszczął się ruch. Organista wyszedłszy z długim kijem zapalał świece, kilku zaś wiejskich chłopców biegało między zakrystyą a ołtarzem, wynosząc różne przedmioty. Śpiewy na kościele ustały, a oczy jaworzyńskich niewiast zwróciły się ku drzwiom zakrystyi, skąd niebawem miał wyjść kapłan. Głowy zbliżały się ku sobie, a ktoby nadstawił ucha, usłyszałby szeptem wymawiane zdania:

— Patrzcie dobrze.

— Ciekawam tego Malutkiego.

Chłopiec szarpnął raz, drugi i trzeci za uwieszony przy drzwiach zakrystyi dzwonek. W kościele zapanowała grobowa cisza tak, że słychać było bijące w piersi

który na Mazowszu głupi naród zbuntował, Wiarę świętą zagładził, pogaństwo przywrócił i księciem się zrobił, a z Pomorzanami, Prusakami, a nawet z Rusią się zaprzyjaźnił.

Znalazł Kazimierz i na niego sposób.

Wydał siostrę swoją za Izasława, syna Jarosława Kijowskiego, a sam pojął za żonę Maryę Dobrogniewę, córkę Włodzimierza, a siostrę Jarosława. Tym sposobem nie tylko Rusinów od Masława odciągnął, ale także pomoc ich sobie zapewnił. Poparł Kazimierza i cesarz niemiecki.

Krwawa była wojna z Masławem, ale z pomocą Bożą zakończyła się szczęśliwie dla Polski. Masław z ogłupionym narodem, z niegodziwymi Prusakami i Pomorzanami został na głowę pobity, nie wiadomo tylko, co się z nim stało. Jedni powiadają, że w bitwie zginął, drudzy zaś, że uciekł do Prusaków. Ci mieli go powiesić z obawy przed Polską, wołając szyderczo: „Chciałeś być wysoko, to jesteś.“

Przyłączywszy Mazowsze do Polski, nie brał się Kazimierz do żadnej wojny. Nie próbował ani Rusi Czerwonej odebrać, ani Pomorzan do posłuszeństwa zmusić. Dość mu było, że samą rdzeń Polski z gardła nieprzyjaciołom wydarł. Za to tem usilniej aż do końca życia pracował nad przywróceniem tego porządku w Ojczyźnie, który zaprowadzili dwaj wielcy monarchowie: Mieczysław I i Bolesław Chrobry.

Grody i kościoły na nowo budował, służbę Bożą przywracał, lud na roli osadzał. Dla utrwalenia Wiary świętej na Mazowszu założył w Płocku biskupstwo i uposażył. Polska ożyła pod jego panowaniem: w Wierze świętej katolickiej i pracy nad sobą. Słusznie też i bardzo słusznie nazwał go naród *Odnowicielem.*

Na cztery lata przed śmiercią tego monarchy t. j. r. 1054 wielkie nieszczęście stało się w Kościele św. katolickim, nieszczęście dawno już przewidywane, ale przeto nie mniejsze. Patryarcha konstantynopolitański Michał, ulegając własnej, niezmierzonej pysze i przewrotności cesarzów greckich, poprzeinaczał prawdy świętej Wiary naszej i zerwał jedność z Głową Kościoła naszego w Rzymie. Tym sposobem powstały dwie wiary: jedna prawdziwa, rzymsko-katolicka, której Głową Ojciec św. w Rzymie, druga grecko-schyzmatycka t. j. *odszczepieńcza*, pełna fałszu, z tą pogańską zasadą, że świecki, panujący jest zarazem głową kościoła.

Kiedy nieszczęsny patryarcha z błędami swoimi wystąpił, Ojciec św. Leon IX-ty wyprawił trzech posłów do Konstantynopola. Ci wykazali mu wszystkie błędy, jakie do Wiary św. wprowadza, zaklinali go na miłość Chrystusa Pana, żeby w Kościele świętym rozdwojenia nie czynił i dusz tylu na potępienie nie dawał. Nic nie pomogło. Wtedy posłowie udali się do wspaniałego kościoła św. Zofii i na niegodziwego patryarchę jako na złowiercę i odszczepieńca *klątwę kościelną* rzucili. Klątwę tę spisaną na ołtarzu złożyli, światło zgasili, a otrzepawszy kurz z obuwia przy wyjściu z kościoła, te na głos wypowiedzieli słowa: „Bóg, który nas widzi, niechaj sądzi sprawy nasze“.

---

serca, a oczy zwrócone ku drzwiom niemal wybiegały z osady.

Wtem w nizkich drzwiach zakrystyi ukazała się schylona postać kapłana, który przestąpiwszy próg wyprostował się nagle.

Mrowie przeszło po zebranych, a z niejednych piersi wyrwał się okrzyk zdumienia.

Istotnie ksiądz Malutki zadawał bezwzględny kłam swemu nazwisku. Był to olbrzym w całem znaczeniu. Gdy stanął na stopniach ołtarza, głową niemal sięgał do połowy obrazu. Do wzrostu przybywała niepomierna tusza, co wszystko czyniło zeń zjawisko niezwykłe, zdumiewające.

Nie zdołano jeszcze ochłonąć z wrażenia, gdy kapłan, zeszedłszy na najniższy stopień, przyklęknął i począł śpiewać „Kto się w opiekę poda Panu swemu“. Znowu zdumienie ogarnęło zebranych, bo oto z tych potężnych piersi płynął głos tak dziwnie dźwięczny, słodki i czuły, że serca nie mogły się oprzeć drżeniu, a łzy mimowoli cisnęły się do oczu. W tej chwili snop jaskrawego światła spłynął przez okno otaczając kapłana jakby aureolą, wśród której przestano widzieć olbrzymią postać ludzką, a zdawało się, że jaki cherub zstąpił z nieba, by słodkim śpiewem wielbić chwałę Pańską. Zamarłe z wrażenia w piersiach głosy zaczęły powoli odzywać się i wnet cały kościół zabrzmiał potężnym chórem, nad którym górował porywający serce śpiew klęczącego kapłana. Ciekawość znikała z twarzy ludzkich, a natomiast głęboka powaga osiadała na licach, po których coraz rzęsiściej poczęły płynąć łzy rozrzewnienia.

Skończył się śpiew, lecz echo łkania długo jeszcze rozlegało się po świątyni. Uciszyły je dopiero słowa księdza, który odwróciwszy się do ludu począł mówić.

Mówił tedy, że przybywa jako pasterz do owiec, i że tego tylko pragnie, aby one go poznały i on nawzajem poznał je. Nie jest on najemnikiem, ale na wzór Niebieskiego Pasterza gotów życie położyć za owce swoje. Sługą Boga miłosiernego będąc, dla wszystkich ma serce otwarte, a niczego nie żąda, o nic nie prosi, tylko o to, aby i jemu nawzajem serca niesiono w ofierze. „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście“ — wołał Pan, więc i on jego niegodny sługa w tenże woła sposób. Niech każdy, kogo boleść trapi, spieszy do niego, a znajdzie ukojenie. Według wątłych sił łzy płaczących osuszy, strapionych

Tak się zakończył ten straszny wypadek w dziejach Kościoła św. i dziejach świata. Bóg tylko sam wie, ile to odszczepieństwo czyli schyzma sprowadziło i jeszcze sprowadzi nieszczęść i niedoli na ludzi. Razem z klątwą kościelną zawisła ciężka ręka Boża nad tymi wszystkimi, którzy do schyzmy przystali. Zmarnieli cesarze greccy. Ich państwo Turcy obalili, w ich stolicy Konstantynopolu osiedli, a ów kościół wspaniały św. Zofii, gdzie klątwa była rzucona, na swoją mahometańską bóżnicę zamienili. Ludy słowiańskie, tam za Dunajem ku Konstantynopolowi siedzące a również schyzmie oddane, po dziśdzień z nieszczęść wydobyć się nie mogą, które je już od tylu wieków przygniatają. Ta sama schyzma Ruś przesławną zgubiła. Moskwa tylko za grzechy nasze i przewinienia innych narodów chrześcijańskich urąga światu, jak ten szatan, którego zesłał Bóg, ażeby kusił Chrystusa Pana. Jak ten szatan do Chrystusa, tak ona woła do narodów: „Pokłońcie się mi i upadnijcie mi do nóg, a dam wam tę piękną ziemię i wszystkie jej skarby“. Biada narodom, które tego szatańskiego głosu usłuchają, bo przyjdzie czas i to może niedługo, kiedy Chrystus Pan zawoła: „Idź precz, szatanie, odemnie, albowiem napisano jest: Bogu Samemu służyć i Jemu Samemu kłaniać się będziesz“. Nastąpi wtedy płacz i zgrzytanie zębów; obali się tron carów, na klątwie Bożej postawiony, łzami i krwią tysięcy ludzi splamiony, zniknie tak, jak zniknął tron cesarzy greckich. *(C. d. n.)*

Moja podróż po Galicyi wschodniej.

Przez Płotycz i Cebrów zaszedłem do Jezierny. Wszędzie tu Podole, czarna ziemia, stepy bez końca. Drogi prywatne, szerokie, zrobiłby z nich cztery. Każdy sobie jeździ, którędy mu lepiej. A że wiosną i jesienią rozmaka czarnoziem głęboko, więc furmani jeżdżą bokami i rozszerzają drogę bez końca. O pole nikt tu nie dba, bo jest go dosyć, że obrobić rąk nie ma. Niektóre sioła robią tak, że jedną połowę pola orzą, drugą ugorują na pastwisko; na drugi rok ugory orzą, a pierwszą połowę zapuszczają na ugór.

W Jezierny dość mi się podobało, bo jest kościół w miejscu. Miasteczko ma wygląd wsi. Chaty pod słomą, a każdy żyje z pola. Gdyby nie żydowskie chałupy z kramikami nędznemi niktby nie powiedział, że to miasto. Pola tu dużo i kupi go tanio. Najlepiej udać się do X. Proboszcza obrz. łać., to on może dać objaśnienie, czy jest co do kupienia w miejscu. O drzewo tu trudno, bo lasów mało, ale za to pola ma każdy do zbytku, a wynajmie go za małą kwotę. Rusini bardzo chętnie puszczają w dzierżawy swoje kawałki, byle się kto trafił.

Z Jezierny zaszedłem gościńcem do Zborowa, większego już miasteczka. Wszędzie po drodze okolica jednaka — olbrzymie fale czarnej ziemi, poprzerywane większemi lub mniejszemi jazami lub rozpadlinami. Stawów dużo rybnych, a przy nich zawsze młyny.

---

pocieszy, a nadewszystko grzesznikom przebaczenie Boże udzieli.

W miarę, jak mówił, ludziska czuli, iż tenże sam słodki głos jego wnika do ich duszy, że chwyta za serce i porywa je ku sobie i mimowoli między mówiącymi a słuchającymi nawiązywał się święty węzeł ojcowskiej miłości, która wyrozumiałą jest, pobłażliwą i nader wiele darować umie. Słuchano go tedy nie tylko z natężeniem, ale i z tkliwością, a kiedy skończył, serdeczne *Bóg zapłać* wyrwało się ze wszystkich piersi.

Dawno już w jaworzyńskim kościele tyle gorących westchnień, tyle rzewnej modlitwy nie płynęło przed niewidzialny tron Najwyższego, jak w tym dniu. To też gdy po Sumie ksiądz zaintonował Suplikacye, wszystek lud, jak żyto podcięte kosą, padł na kolana śpiewając za nim z głębi wzruszonych serc:

„Abyś nam grzechy nasze odpuścić raczył, prosimy Cię Panie!“

„O Jezu! Jezu! Jezu! zmiłuj się nad nami!

Skończyło się nabożeństwo, a ludziom nie pilno było jakoś opuścić kościół, gdzie przed chwilą tyle słodkich doznali wrażeń.

Na twarzach powracających do domu mieszkanek Jaworzyna malowało się pewne przygnębienie. Szły one w milczeniu, niby zawstydzone, nie zdając sobie sprawy z uczuć, jakie przenikały ich dusze. Zabiegającym im drogę mężom odpowiadały szorstko lub półsłówkami.

Pani Bonifacowa z opuchniętemi oczyma wtoczyła się do izby, a ujrzawszy czekającego z niecierpliwością na nią męża, zawołała na wstępie:

— Oj ty bezbożniku, heretyku jakiś, w szynku byłeś. Idź! nogi mu całuj, by cię z Bogiem pojednał. O mój Jezu najmilszy, słodszego śpiewania i w niebie nie usłyszy. Toż jakby oliwę wylewał na serce i wszelką żałość obmywał...

Resztę słów przerwało jej łkanie.

Pan Bonifacy słuchał jakiś zafrasowany tych uniesień i tylko w głowę się skrobał, nie śmiejąc o dalsze pytać szczegóły.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiatraków tu nie spotkałem nigdzie. Łapią wodę i woda miele zboże. Rusin żaren nie zna, a ziarno na chleb wiezie do młyna. Okolica tu jest chłodniejsza aniżeli około Czortkowa, ale urodzajna i zboża rodzą się wyśmienicie. W okolicy Zborowa jest podolska ziemia, dużo jej jest i tania, radzę się więc udać do polskiego proboszcza, który także z Mazurów pochodzi, a on chętnie da pytającym objaśnienia, gdyby który chciał tu zamieszkać jako rzemieślnik, lub miał ochotę kupić kawałek pola.

Od Zborowa ku Złoczowowi już się charakter okolicy zmienia, ziemia coraz gorsza, gdzieniegdzie moczary, lasy, lub białe, kredowe usypiska przedzielają orne pole. Smutno jakoś wyglądają te strony, więc się długo nie zatrzymywałem, lecz pospieszyłem prosto do Złoczowa na odpoczynek.

Złoczów i o mil 2 oddalone Podhorce były dawniej majątkiem rodzinnym króla Jana Sobieskiego, największego bohatera i wojownika polskiego. O nim to wiemy z historyi, że pobił Turków na głowę u granic Polski tak, że im się już raz na zawsze odechciało wojny z Polakami i dali nam spokój wieczysty. Ale Turcy mieli dużo wojska, więc myślą sobie, skoro nie damy rady Polakom, zjedzmy Austryę. Wyruszyli na Wiedeń z ogromną ćmą narodu. Cesarz austryacki widzi, że źle, że Turcy rozbiją w puch Austryę, a Wiedeń zagrabią, udał się z prośbą do króla Sobieskiego. Prosił o ratunek i Papież. Tak tedy król Jan przychylił ucho na prośby Papieża i Cesarza i poszedł z rycerzami i chłopami pod Wiedeń. Rozbił w puch Turków, zabrał im chorągwie i armaty i wypędził ich raz na zawsze także z Austryi. Tak więc król Jan ocalił dwa państwa Polskę i Austryę — a przez nie całą Europę od najazdu Turków. Od tego czasu złamaną została potęga Turcyi i rozsypywać się poczęła do dziś dnia. Wszystko to zawdzięcza świat królowi polskiemu Sobieskiemu.

Poszedłem w Złoczowie na zamek (teraz tam jest więzienie) i ucałowałem te progi, któremi stąpał nasz bohater, nasz największy wojownik król Jan. Wielkich ludzi, którzy nam dobrze zrobili, którzy rozsławili szeroko i daleko polskie imię, czcić należy.

Namówiono mnie, abym poszedł do Podhorzec, bo tam książę Sanguszko nagromadził w zamku rozmaite pamiątki po królu Janie. Niby coś w sercu mówiło mi, idź, idź, nie żałuj fatygi. Więc poszedłem gościńcem przez Sassów. W okolicy Sassowa piaski już, ziemia licha, lasy tylko są gęste i prześliczne. Między lasami wije się Bug; mały on tu jeszcze, ale nim dopłynie do Wisły, urasta w dużą rzekę. Idę coraz wyżej i wyżej wśród lasów, aż doszedłem do Podhorzec. Najpierw uderzył mnie kościół niezwykłą swą budową. Wygląda jak olbrzymia baszta wzniesiona pośród drzew stuletnich. Pomodliłem się przykładnie i zwróciłem swe kroki ku zamkowi.

Szeroką drogą, wysadzoną szpalerami strzyżonemi doszedłem do zamku. Nie wielki on ale schludnie utrzymany jak za królewskich czasów. Poprosiłem o pokazanie mi pamiątek. Nadzorca bardzo chętnie to uczynił i zaprowadził mnie do tych pokoi, gdzie są zbiory. Co tu rozmaitych rzeczy rarytnych! Chryste Jezu, aż oczy bolą od tego mnóstwa. Są tam zbroje rozmaite, obrazy, skrzydła huzarskie, misiurki żelazne, broń starożytna, buńczuki, oszczepy, sztandary, że nawet tego nie spamiętam. Pan nadzorca ochotnie wszystko pokazywał i tłómaczył. Jest tam stół marmurowy, na którym chrzczono króla Jana. Są dywany i makaty i namioty, które zdobył król na Turkach. Jest łoże, na którem sypiał; jest fortepian, na którym grała królowa Marysienka; jest orzech, który sadził król własną ręką. Mój Boże, czego tu nie ma w tym zamku! wszystko jest. Ach jak to miło widzieć te pamiątki. Powinni chłopi często odwiedzać gromadnie ten zamek, a nie pożałują pieniędzy i fatygi. Co oczy widzą, to zostanie na wieki w pamięci i lepsza to nauka historyi taka, aniżeli z książki.
Jan.

Dumania Walentego.



Z p. *Jaśkowskim* mamy wieczne *komendye*. Chcieli mu już krowę sprzedać za ten dług, co na niego *masońskie usłużniki* zaciągnęli. Dziś zawołał nas kilku gospodarzy X. Kanonik i powiada:

— Bójcie się Boga, ludzie! nie może być, żeby

mu krowę sprzedali. Jak zostaną dzieci i żona? Prawda to, że się wdał w nieswoje rzeczy, że głupstwa mówił i robił, ale jak z aresztu wyszedł, to już jakby nie ten sam człowiek. Trzeba go ratować!

Brzdęk jak Brzdęk zaczęli zaraz przypominać, jak się do *socyalistów* zaciągnął, jak na pierwszego maja święto z *masońskimi usłużnikami* obchodził i z *mentalem* do wsi przyszedł, jak potem za rozruchy w Krakowie dostał się do kozy i jak w Trzebini *Obertasa* w ręce żandarma oddał. Więc śmiechu było dość. Śmiał się i X. Kanonik, ale już i niecierpliwić się zaczął, bo myślał, że Brzdęk dlatego to wszystko gadają, żeby p. *Jaśkowskiemu* żadnej pomocy nie dać. Gdy to Brzdęk spostrzegli, tak nagle urywają, całują X. Kanonika w rękę i powiadają:

— Niech się X. Kanonik nie gniewa na mnie, bo taka już u mnie natura, że nawet w biedzie wesołe mam serce.

— Wielki to dar Pana Boga — powiada X. Kanonik — wstając i legając warto Mu za to dziękować.

— Ja też — powiadają Brzdęk — czuję to dobrze i p. *Jaśkowskiemu* krowy sprzedać nie dam, choćbym miał sam tych 25 reńskich zapłacić.

Brzdęk, co zawsze śmiech na ustach mają, powiedzieli to z takiem namaszczeniem, takim dziwnym tonem dobrego chrześcijanina, że każdemu jak wosk serce zmiękło, a X. Kanonik aż odskoczył do papierów. Grzebał w nich i niby czegoś szukał, a po prawdzie nie chciał tylko pokazać, że się mu na płacz zbiera.

— Brzdęku! — wołamy wszyscy — X. Kanonik mógłby także to wszystko wziąć na siebie, bo go także stać na 25 reńskich, ale święta Wiara nasza tak nas uczy, że każdy podług możności swojej powinien dobre uczynki spełniać. Więc ani wy sami Brzdęku, ani X. Kanonik sam, ale wszyscy powinniśmy w tym dobrym uczynku mieć udział, jak kogo stać. Razem żyjemy, razem pracujemy, razem weselimy się i cierpimy; razem czyńmy dobrze, abyśmy i po śmierci razem stanęli na sądzie Przedwiecznego i dostali się razem tam, gdzie zamiast kłopotów, niedoli i ciemności ziemskiej jest już wieczny spokój, wieczne szczęście i wieczna światłość. Przecież X. Kanonik przez 53 lat tak nas uczył.

Nasz X. Kanonik bardzo miękkiego serca, więc już starowina łez utrzymać nie mógł, a tu wpada pan Dziedzic.

Pochwalił Pana Boga, popatrzył na nas wszystkich zdziwiony i powiada ze strachem:

— Księże Kanoniku! cóż to takiego? Czy, Boże broń, jakie nieszczęście?

X. Kanonik łzy obcierał, my także. Brzdęk najpierw się upamiętali i rozpowiadają, jak było.

— To wszystko już niepotrzebne — powiada Dziedzic — bo właśnie sprawę tę załatwiłem w mieście; licytacya już nie zjedzie do p. *Jaśkowskiego.*

— Panie Dziedzicu! — powiadają Brzdęk — myśmy tu już uradzili, że czy w małej czy dużej rzeczy wszyscy pójdziemy razem: każdy podług możności, ale każdy. Skoro więc pan Dziedzic zapłacił, to teraz już tylko każdy powie, co ofiaruje.

Mieli Brzdęk jeszcze coś powiedzieć, ale X. Kanonik uścisnął pana Dziedzica za rękę i powiada:

— Ha, mocny Boże! teraz już spokojnie umrzeć mogę, bom dożył tego, co w tych strasznych czasach rzadko który z moich braci kapłanów oglądał. Wiara św. sprawiła u mnie cud wielki, zrobiła z was jedną rodzinę chrześcijańską, w której jeden drugiego pragnie nie w złem, ale w dobrem wyprzedzić. Teraz już tylko proszę Boga, żebym jutra doczekał i mógł przy Mszy św. podziękować Mu za to szczęście, któregom dożył, a was wszystkich polecić dalszej Jego opiece.

Starowina płakał jak dziecko, pan Dziedzic i my wszyscy za nim, jak bobry. Kiedy mówić przestał, pan Dziedzic pierwszy X. Kanonika ucałował w rękę a potem my wszyscy po kolei.

— Dobrze, księże Kanoniku — powiada nareszcie pan Dziedzic — kiedy X. Kanonik taki dobry, to niech za nas jutro Mszę św. odprawi, my zaś poprosimy X. Wikarego, żeby nam równocześnie Mszę św. odprawił za zdrowie i długie jeszcze życie X. Kanonika. Boć to wszystko łaska Boża a praca i staranie X. Kanonika, ojca naszego i dobrodzieja.

Nie wiem, jak się to stało, ale wszyscy jak jeden człowiek zawołaliśmy naraz:

— Bóg wszechmogący niech nam w najdłuższe lata zachowa X. Kanonika przy zdrowiu i życiu!

X. Kanonik już o chustce zapomniał, tylko rękawem łzy utarł i zadzwonił na parobka służącego, żeby przyniósł wina.

— A — powiada — przynieś tę butelkę, która tam w samym kącie stoi — tę starą — wiesz?

— Wiem — odrzekł parobek — a my się pytamy, co to za wino.

— Kiedym się wyświęcił — powiada X. Kanonik — na księdza w Tarnowie, X. Biskup *Wojtarowicz* — niech mu tam Bóg rozświeci Królestwo niebieskie — darował mi tę butelkę wina na pamiątkę.

— Masz — powiada — księże Janie, ale wypij to wino dopiero wtedy, kiedy ujrzysz, że ci Bóg w pracy twojej kapłańskiej pobłogosławił.

— Dziś już — powiada X. Kanonik — to błogosławieństwo Boże widzę, więc i na tę butelkę kolej.

Przyniósł parobek tę butelkę sławną; oglądamy ją wszyscy. Stara bo stara, ziemia ją tak obrosła, że śladu szkła nie widać. Kiedy ją X. Kanonik otworzył, zapachniało w całym pokoju.

Parobek stawia tacę z kieliszkami i powiada:

— A wie, X. Kanonik, co się tej nocy stało?

— Nie wiem — a co takiego?

— *Florkowa* widziała śmierć na własne oczy.

— A bodajś pękł — pomyśleliśmy sobie wszyscy — kiedy mamy pić zdrowie X. Kanonika, ten osieł rozpowiada o śmierci.

— Widać, że i pan Dziedzic to samo myślał, bo także krzywo na parobka popatrzył.

X. Kanonik jeszcze przez łzy uśmiecha się do parobka i pyta się, jak to było z tą śmiercią.

— Florkowa szła — powiada parobek — późną nocą od brata z Poręby. Było jasno, bo miesiączek świecił, i dochodziła już tu, gdzie graniczą nasze pola z porąbskiemi. Patrzy — a tu przez pola nasze, z tego końca wsi, gdzie p. *Jaśkowskiego* chałupa, biegnie prędko coś białego a wysokiego, że strach. Potem jej to z oczu zniknęło. Przychodzi do naszej kapliczki, tu, gdzie wójtowa kapusta, patrzy — a tu między drzewami stoi ta sama wysoka osoba. O mało babina ze strachu nie umarła. Ale jak na cały głos zawołała: „Wszelki duch Pana Jezusa chwali“ — tak to białe myk, myk w pola i poleciało ku Porębie.

— Niech sobie leci — powiada pan Dziedzic — a ty weź fajki X. Kanonika i oczyść cybuchy.

Brzdęk patrzą w okna i powiadają, że p. *Jaśkowski* biegnie na plebanią.

— Mówię wam — powiada X. Kanonik — że to dobry człowiek ten p. *Jaśkowski*. Był obałamucony, ale odezwało się w nim sumienie. Tamtej niedzieli wyspowiadał się u mnie z całego życia i przyjął św. Sakramenta. Napłakał się biedaczysko dość. Powiedziałem mu, że go Bóg pocieszy i tak się stało. Pewnie się dowiedział, że p. Dziedzic licytacyę powstrzymał i biegnie podziękować.

P. *Jaśkowski* zgłupiał, jak nas wszystkich zobaczył. Płakał i dziękował bez końca.

— Ale — powiada — za ciężki grzech miałbym to sobie, żeby ktokolwiek miał za mnie płacić. Ja szlachetną mam duszę i niczyjej pracy nie przyjmę, dopóki Bóg udziela mi zdrowia. Dziękuję tylko stokrotnie i do śmierci tego nie zapomnę X. Kanonikowi, p. Dziedzicowi i wam dobrzy ludzie, że będę mógł ten dług częściowo uspokoić, bo inaczej byłbym zmarniał.

Pijemy wreszcie zdrowie X. Kanonika, a na to wchodzi znowu parobek. Nałożył fajkę X. Kanonikowi i zapalił. Wtem spostrzega p. *Jaśkowskiego* i powiada:

— Ale, panie Jaśkowski, u pana będzie jakaś nowina, bo tej nocy śmierć tamtędy leciała, gdzie dom pana stoi.

— Wstyd mnie — powiada p. Jaśkowski — ale muszę o tej śmierci opowiedzieć, bom i ja ją w drodze spotkał.

Wszyscy z ogromnem zdziwieniem patrzymy na p. *Jaśkowskiego,* a on powiada:

— Późnym wieczorem wyszedłem od roboty z miasta, a po drodze wstąpiłem jeszcze do Bartka w *Porębie.* Gadu, gadu i zeszło prawie do północka. Wyszedłem nareszcie na drogę ku naszej wsi. Patrzę — przecieram oczy — z początku strach mnie zdjął. Białe, duże, pędzi, że strach. Jak mnie zobaczyło — stanęło. Myślę sobie: nie co innego, tylko złodziej — tak za nim. Dognałem — śmieć patrzy na mnie, ja na nią — poznajemy się — *socyalista, masoński usłużnik.* Drży jak liść osikowy ze strachu i zimna.

— Co u sto wilków — powiadam — przebrałeś się za stracha?

Nie mógł długo słowa przemówić. Nareszcie opowiada, że przybył do mnie i zastał tylko moją żonę i panią *Więckowską.* Jak go tylko poznały, tak zaraz łap go i obdzieraj...

Patrzę na niego — akurat — niema na nim nic tylko gatkowiny i koszula.

— Zabrały mi — powiada — zegarek, zabrały wszystko, za ten dług. Chciały mnie potem zamknąć w chałupie i pójść do wójta. Wyrwałem się wtedy i uciekłem.

X. Kanonik w śmiech, p. Dziedzic za nim i my wszyscy.

— I cóż pan dalej z tą śmiercią zrobił? — zapytują Brzdęk.

— Co miałem zrobić — powiada p. *Jaśkowski* — przyprowadziłem do domu, kazałem się ubrać i puściłem. Co on winien? On taki głupi, jakim i ja niedawno byłem.

Parobek wyszedł, ale widać było, że p. *Jaśkowskiemu* nie wierzy.

Dla nas wszystkich dzień dzisiejszy będzie pamiętny na zawsze. Może i inni nauczą się od nas, jak wspólnemi siłami bije się niedolę ziemską...

A jutro dwie Msze...

Wiadomości polityczne.

Prezesem Koła polskiego w Wiedniu jest p. *Jaworski*, a zastępcą jego był p. *Czerkawski.* Ponieważ ten złożył mandat poselski z powodu podeszłego wieku, Koło polskie w jego miejsce wybrało jednomyślnie zastępcą prezesa p. *Benoëgo,* długoletniego posła, a bardzo zacnego obywatela z powiatu bocheńskiego. W Wiedniu zresztą toczyły się temi dniami narady, to w sprawie czeskiego *stanu oblężenia,* to projektu wyborczego. Nic decydującego jeszcze nie uchwalono. Koło polskie powzięło ważną uchwałę w sprawie sprzedaży soli dla bydła. Wniesie ono w pełnej Izbie projekt do prawa, żeby rząd czemprędzej i bez długich formalności już w listopadzie do sprzedaży tej soli przystąpił. U nas

w Galicyi z powodu słot w lecie i wylewów pasza zebrana jest na pół zepsuta, przeto trzeba dawać bydłu sól w większej ilości, niż zwykle. Przemawiało za tem wielu posłów, jak X. Ruczka, X. Chotkowski, pp. Jaworski, Chrzanowski, Straszewski, Abrahamowicz i inni.

O prześladowaniu Kościoła św. jak najsmutniejsze wieści nadchodzą z pod *Moskala*.

Dotychczas w doniesieniach z Podlasia zwracaliśmy wyłączną uwagę na prześladowanie ludu unickiego. Ucisk religijny jednakże nie do nich tylko ogranicza się. Przenoszenie księży, ograniczania w spełnianiu religijnych obowiązków, zamykania kościołów są tam na porządku dziennym. Wiadomo, że Unitom zabroniono uczęszczać do kościoła. Ponieważ chodzą do kościoła, mimo, że ich aresztują, sądzą i skazują na grzywny i więzienia, jęto się innego środka, mianowicie grożą, że będą zamykali te kościoły, do których uczęszczają na nabożeństwo Unici. Niedawno zawiadomiono księdza, że jeżeli i nadal Unici będą chodzili do kościoła w Szczebrzeszynie, kościół zostanie zamknięty. Nie pozwalają nie tylko na budowę nowych kościołów, lecz nawet na restauracyę tych, które są; nawet otynkować kościół, lub poprawić podłogi nie wolno. Wiele kościołów chyli się ku zupełnemu upadkowi. Niektóre są w takim stanie, że grożą katastrofą, obaleniem się sufitu; kościoły zupełnie zrujnowane zamykają. To samo dzieje się z kaplicami na cmentarzach. W Rogaszu niedawno odebrano kościół, zmuszając mieszkańców, by go rozebrali i przenieśli do Ponenek, które dotychczas były filią kościoła rogoszańskiego. Nieprawosławni, mimo rozkazu, nie chcieli rozebrać i przenieść kościoła, za co kazano im płacić kary po 8 rubli. W powiecie radzyńskim (gubernia siedlecka), parafii Gęsi, we wsi Dawidach, włościaninowi, który w czasie cholery postawił krzyż, kazano zapłacić kary 90 rubli. Na zapłacenie złożyła się cała wieś. Kary, przenoszenia i zsyłania księży, za to tylko, że gorliwie pełnią swe obowiązki, są u nas ciągłe. Wikarego z Chełma skazano do Piniewna na trzy miesiące za wydanie świadectwa spowiedzi nie po rosyjsku, jak tego wymagają, ale po polsku. Za sprawę unicką z Antypola skazano księdza na pokutę na 6 tygodni. X. Fr. Masorka, profesora seminaryum lubelskiego, usunięto z profesorstwa i przeniesiono na wikarego do Rudna. Odbywały się u niego dwa razy rewizye. X. dziekan z Chełma, Szymański, X. dziekan z Hrubieszowa, Graczyński, proboszcz z Humanowa, Opolski, X. Tomaszewski z Parczewa (gubernia siedlecka), za sprawy unickie zostali wywiezieni do Maryampola (gubernia suwałkoska).

X. Słowakiewicz z Ryk za kazanie, w którem dopatrzono zachęcenia Unitów do wytrwania w wierze został także skazany na rok do Maryampola. Czterech organistów nie wiadomo dokąd wywieziono. Utrzymują, że na Sybir. X. Słowakiewicz skazany widocznie za to, że z wielu mieszkańcami gminy podpisał prośbę o usunięcie felczera, pijaka i niezdary. Felczera podtrzymywał naczelnik powiatu Czugajew, znany przześladowca, który zrobił donos, że X. Słowakiewicz ma zły wpływ na parafian, i że w kazaniach powstaje przeciw prawosławiu. Biskup zupełnie pozbawiony jest wszelkich praw. Dyecezyą rządzi władza świecka. Biskupowi bez gubernatora nie wolno ani przenieść księdza, ani naznaczać na probostwa. Z wyjątkiem powiatu garwolińskiego, węgrowskiego, gubernii siedleckiej i nowo-aleksandrowskiego lubelskiemu Biskupowi nie wolno wizytować dyecezyi. Seminarya oddają pod dozór dyrektorów rządowych. W Lublinie taki dyrektor nie tylko był na egzaminach, ale przychodził i podczas lekcyj. W kwestyi inspekcyi rządowej Arcybiskup warszawski, Biskup płocki i lubelski podali memoryał do jenerał-gubernatora Hurki. Z powodu wzmiankowanego memoryału Biskup lubelski otrzymał upomnienie od Hurki i odjeto mu 2.000 rubli pensyi.

Szkoły ludowe są pod dozorem popów. Nie tylko dzieci unickie, ale nawet i katolickie wychowują się w duchu prawosławia. Ksiądz nie ma żadnego wpływu na szkołę, nie wolno mu nawet jej odwiedzać. Religię katolikom wykładają nauczyciele świeccy. Naznaczają na nich nauczycieli przychylnych rządowi, lub usposobionych wrogo dla katolicyzmu. W ostatnich czasach krążyły wiadomości, że jest wolą cara, by religię w szkołach ludowych wykładano po polsku. Dyrektorowie okręgowi rzeczywiście zapytywali księży piśmiennie, czy nie podjęliby się wykładu za wynagrodzeniem, lub bezpłatnie. Księża odpowiedzieli, że potrzebne zapytanie lub rozkaz mogliby tylko otrzymać od swej władzy prawowitej, to jest od Biskupa. Jeden z księży zgodził się na wykład religii, kazano mu wykładać po rosyjsku.

Ludowi nie wolno zgromadzać się, zabroniono mówić po polsku nawet w powiatach czysto polskich. Dzieci zrodzone z rodziców unickich w 1874 r. i dotychczas nieochrzczone, zapisują jako prawosławne. Ścigają za tak zwane u nas metryki krakowskie, które odbierają i niszczą. Gubernator sam i przez swego zarządzającego kancelaryą niszczy wszelkie ślady Unii. Zarządzający kancelaryą gubernatora Uszyrenka jeździ po wsiach szpiegować Unitów; namawia, by ich denuncyowano. Nie ma dnia, by Unitów nie skazywano na grzywny i więzienie za chrzczenie dzieci, zawarcie ślubów i grzebanie umarłych bez popa.

Takie rządy moskiewskie.

Wiadomości i listy od Czytelników i Przyjaciół „Krakusa“.

Dobrzechów. Dnia 29 września b. r. w dzień uroczystości św. Michała Archanioła w mieście Strzyżowie zebrała się ludność zewsząd bardzo licznie na tę uroczystość. Po uroczystości szło kilku gospodarzy do domu do wsi Wysokiej w powiecie jasielskim. Będąc podpici, odgrywali swoje swawole przez drogę. Pomiędzy nimi był jeden włościanin, nazwiskiem Piotr Podsiodło, który już był dobrze podpity, ponieważ jest nałogowy pijaństwu. Gdy przyszli do swojej wsi Wysokiej, tak wstąpili do karczmy (na jednego). Wtem woła na żyda Piotr Podsiodło, ażeby mu dał pół kwarty rumu. Żyd widząc, że ma już dosyć, nie chciał mu dać trunku, tylko wołał na niego, ażeby mu zapłacił dawne, co mu winien. Co widząc Piotr P., że nie chce mu żyd dać rumu, krzyknął na żyda: „Dawaj, Kaifaszu, rumu, bo cię zabiję“ i zaczął krzyki i bitkę. Wtem nadeszli jego sąsiedzi, tak kazali dać jedne pół kwarty rumu i drugie pół kwarty. Przy nich usiadł Piotr P. i zapijał pospołu. Później wstał od stołu, chcąc na pole wyjść, ale się obalił w drugiej izbie na ziemię i ducha wyzionął. Żyd widząc, że chrapie na ziemi, woła na chłopów, ażeby go podnieśli, ci patrzą, a ten już nieżywy. Była to już godzina 12 w nocy t. j. z piątku na sobotę. Leżał ów pijak u żyda przez trzy dni u swojego Kaifasza. Oj miłe miał żyd *kucki!* Niemiła to rzecz dla całej naszej parafii, bo u nas są dosyć dobrzy gospodarze. Rzadko można ich widzieć w szynku, bo wódki bardzo mało piją. To też wystawili śliczną świątynię, kościół, który prawdopodobnie jest pierwszy w Galicyi co się tyczy rzeźby kamieniarskiej. Kończąc pisanie, polecam wszystkich Czytelników *Krakusa* Panu Bogu.

J. F.

Storeszty w Rumunii. W szklannej hucie w Sztoresztach w Rumunii jest zatrudnionych przeszło 20 rodzin polskich z Galicyi i Bukowiny. Mieszkają przy fabryce wśród głębokich lasów, nie wiedzą, co się w ich ojczyźnie i na całym, Bożym świecie dzieje. Jedyną ich pociechą jest, gdy ich X. Proboszcz katolicki, Polak, z odległych o 6 mil Botuszan raz na miesiąc odwiedzi dla zaspokojenia ich potrzeb duchowych. Taki dzień, zazwyczaj powszedni, zamienia się u nich w święto; ludność przywdziewa odświętny strój i zbiera się w uprzątniętej i na kaplicę przemienionej izdebce, gdzie przystępuje do św. Sakramentów, z nabożeństwem słucha Mszy św. i kazania. Teraźniejszy proboszcz z Botuszan X. Janik T. J. przystępuje do zbudowania dla nich drewnianej kaplicy, pomimo że stoją mu na przeszkodzie trudności pieniężne. Oby Pan Bóg mu dozwolił owe trudności przezwyciężyć.

Tyle słów od czcigodnego korespondenta. *Krakus* serdecznie dziękuje za te wiadomości, a wszystkich tamtejszych braci pracowników z całego serca pozdrawia.

NOWINY.

— **W Zabłotcach** odbył się w tych dniach pogrzeb ś. p. Zygmunta Kozłowskiego, wieloletniego posła na Sejm i do Rady państwa, dobrego katolika, zacnego i zasłużonego człowieka.

— **Wielki pożar** zniszczył w tych dniach wieś Kozłów (pow. kamionecki). Zgorzało 36 domów z zabudowaniami, tudzież zakład dobroczynny pani Kielanowskiej, będący pod zarządem zakonnic wraz z kaplicą. Nieszczęśliwym wyraża *Krakus* głębokie współczucie.

— **Stare drzewo.** Może już szanowni Czytelnicy świadomi tego, co ja tu podaję, ale może nie zaszkodzi przypomnieć o przekonaniu, że bardzo jest złą rzeczą składać stare drzewo koło domu, które jest zarażone grzybem n. p. stare poręcze, ławy i różne takie zgniłki. Wskutek tego chwyta się domu grzyb, a tego gościa bardzo trudno później się pozbyć.

P. L. z Bysiny.

— **Bysina.** We wsi Bysinie w pow. myślenickim dnia 6 października b. r. spaliły się do szczętu dwa domy włościańskie i jedna stodoła razem z plonami. Ogień był bardzo wielki, bo byli gospodarze zamożni. Pożar wybuchł o godzinie pierwszej po północy i paliło się do rana. Na widok ognia, jęki i płacze zbiegło się mnóstwo ludzi, a potem nadbiegły i dwie sikawki. Najpierw przyjechała straż ogniowa z Górnejwsi, a druga z samym p. naczelnikiem z Myślenic. Lecz trudno było ogniowi poradzić. Domy te nie były asekurowane; przyczyna pożaru nieostrożność.

Jędrzej Czepiel, przewodniczący Kółka.

— **Mądra baba.** Miała tu u nas w Bysinie kobieta jedną krowę wartości 35 złr. Krowa ta lubiała jej ryczeć, a babę to bardzo gniewało. Nareszcie zeszłego miesiąca wzięła się na sposób. Gdy jej krowa znowu zaczęła ryczeć, porwała kawałek powroza, biegnie do stajni i mówi do siebie: „Poczekajże, psia wiaro! ty mi tu nie będziesz ryczeć“. Zawiązała jej gębę powrozem i odeszła w pole do roboty. Za chwilę wraca do domu i cieszy sie, że krowa cicho stoi w stajni. Myśli sobie: „Widzisz, psia wiaro, jakeś teraz spokojna“. Wchodzi do stajni — potem wybiega w pole, załamuje ręce i krzyczy w niebogłosy. Nadbiegam na ten krzyk, ale od baby niczego dowiedzieć się nie mogę. Jakieś nieszczęście, myślę sobie, i wpadam do chałupy. Tu nie widać nic, więc zaglądam do stajni, a tu leży krowa wyciągnięta z powrozem na gębie. Ruszam — akurat! — nie żywa. Wracam na pole i choć się to nie godzi, powiadam: „Oj głupiaś, babo i tyla“. „Głupiam, moiściewy — powiada — do krztym głupia“. *J. C.*

— **Krajowa szkoła sukiennicza w Rakszawie.** W d. 1-go listopada b. r. otwartą zostanie krajowa szkoła dla nauki sukiennictwa w Rakszawie w powiecie łańcuckim. Celem szkoły jest wykształcenie uczniów w wyrobach wszelkiego rodzaju sukna, koców i t. p., wogóle artykułów wchodzących w zakres sukiennictwa. Nauka

trwa dwa lata. Do nauki przyjętym być może uczeń, jeżeli ukończył szkołę ludową, ma 14 lat życia skończonych i jest dostatecznie fizycznie rozwiniętym, by mógł pracować na warsztatach. Nauka w szkole udziela się bezpłatnie. Zgłoszenia przyjmuje Zarząd szkoły po dzień 31 października 1893 r.

Zarząd krajowej szkoły sukienniczej w Rakszawie.

— **Wiec katolicki** w Chicago (czytaj Czikago) w Ameryce odbył się w dniach od 4-go do 8-go b. m. i powziął wiele poważnych postanowień.

— **W Alzacyi i Lotaryngii** od chwili, jak te prowincye zabrali Prusy Francyi (r. 1870) powiększyła się liczba lutrów o sto tysięcy, a o tyle zmniejszyła się liczba katolików.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. J. K. w U. Bóg zapłać za życzliwe słowa serdeczne pozdrowienia dla wszystkich Braci Szlązaków! List idzie.

P. A. D. w W. Rzecz wydrukowana, administracya załatwi resztę w swoim czasie. O dalszą pamięć bardzo *Krakus* prosi, a po starej znajomości przesyła piękne ukłony.

P. A. M, w. P. Takie to nieszczęścia *masońskie usłużniki* umieją na człowieka sprowadzić. Nie pierwszego waszego syna, kochany gospodarzu, oni zgubili i z pewnością nie ostatniego. *Krakus* nie darmo przed nimi ostrzega. Wszystko, o co prosicie, *Krakus* załatwi, a odpowiedź listowną niedługo otrzymacie. Serdeczne pozdrowienia!

P. J. W. w M. Na przewrotności *Przyjaciela ludu* a raczej *Nieprzyjaciela* poznaliście się doskonale. To samo jest w każdym numerze tego obłudnego i przewrotnego pisma. W ostatnim np. śpiewa: „Przed Twe ołtarze zanosim błaganie, wolną Ojczyznę racz nam wrócić Panie!“ a równocześnie chwali *Młodoczechów*, którzy *schyzmie* są oddani i dla przypodobania się Moskwie gotowi nas w łyżce wody utopić. Że on nawet *socyalistycznemi* pieniądzmi usiłuje chłopów wciągnąć w nieszczęścia, to święta prawda. Serdeczne pozdrowienia i podziękowania.

P. M. C. w Z. Serdeczne uściśnienia i podziękowania! Zaraz wydrukujemy.

P. J. F. w D. Stokrotne Bóg zapłać! Pismo idzie do druku. Bieda wieczysta z tą obrzydliwą *gorzałą*. Tyle nieszczęść ona sprowadza, a ludziska upamiętać się nie mogą. A nie słyszał tam pan co o *masońskich usłużnikach?*

Ceny zboża
(z targu na Kleparzu).

Kraków 17 października.

Płacono: za pszenicę białą od 8 złr. — ct. do 8 złr. 25 ct., za czerwoną od 7 złr. 70 ct. do 8 złr. 25 ct., za żółtą od 7 złr. 70 ct. do 8 złr. 30 ct., za żyto od 6 złr. 40 ct. do 6 złr. 70 ct., za jęczmień browarny od 7 złr. 50 ct. do 8 złr. — ct., na kaszę od 5 złr. 70 ct. do 6 złr. — ct., za owies od 6 złr. 80 ct. do 7 złr. 15 ct., za rzepak od 13 złr. — ct. do 13 złr. 75 ct. — Wszystko za 100 kilogramów.

Kalendarzyk tygodniowy.

Dnia	Święta rzymskie	Wschód słońca god.	Wschód słońca min.	Zachód słońca god.	Zachód słońca min.
22	*Nied. 22 po S. Jana Kantego.*	6	17	4	33
23	Pon. Jana Kapistr. i Seweryna.	6	19	4	31
24	Wt. Rafała archanioła.	6	21	4	29
25	Śr. Kryspina, Krysp. i Daryi. ☺	6	23	4	27
26	Cz. Ewarysta pap. i Fulki.	6	24	4	25
27	Piąt. Iwona w. i Sabiny męcz.	6	26	4	23
28	Sob. *Szymona* i *Tadeusza apost.*	6	27	4	21

Odpowiedzialny redaktor i wydawca:

Ksiądz Wawrzyniec Oprzędek.

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką“.

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.